

Asjomobilem po Chorwacji

Maciej Jelonek

Znacie powiedzonko o lizaniu cukierka przez papierek? Nawet jeśli tego nie robiliście, łatwo Wam sobie wyobrazić uczucie towarzyszące tej nonsensownej czynności. A jak się czuje cukierek w opakowaniu, który został przez kogoś połknięty? Asija, Maniek, Łukasz i ja przekonaliśmy się o tym na własnych skórkach podczas zaimprovizowanej naprędce pięciodniowej wycieczki na Półwysep Bałkański. To my byliśmy tym cukierkiem, a Asijomobil naszym szczelnym opakowaniem. Pozwoliliśmy Chorwacji, aby nas połknęła i im głębiej wnikaliśmy w jej wnętrze, tym bardziej marzyliśmy, aby móc się w niej rozpuścić.

Organizatorem, pilotem i w ogóle szefową całego przedsięwzięcia była Asija. Kobieta, która przemierzyła tyle dróg, że nawet Dylanowi by starczyło. Jednak jak się z Łukaszem przekonaliśmy, ulubioną drogą Asii jest Maniek. Uwielbia po nim jeździć. A jak Asija jeździ po Mańku, robi to z takim wdziękiem i wprawą, że Nicolas Cage rozwalający połowę Kalifornii Fordem Mustangiem Shelby GT500 może się schować, czerwieniejąc ze wstydu.

A Maniek to spokoju człowiek! Tylko raz zamienił się w wielkiego zielonego potwora gotowego roznieść w przysłowiowe drobiazgi cały maszyn Biokovo. A stało się to, kiedy jakiś Chorwat zatrąbił na nas, gdy grzecznie wracaliśmy ze sklepu w Dverniku na kemping w Živogošće. Poszło o to, że zdaniem narwańca stojącego za nami, zbyt wolno zareagowaliśmy na zmianę światła z czerwonego na zielone. Z ust Mańka popłynęło wtedy tak wiele głośnych, nieparlamentarnych słów, że na miejscu obsobaczonego delikwenta, martwiłbym się o swoje potomstwo aż do siódmego pokolenia.

Łukasz znów zaczął marzyć o wszelkich możliwych militariach. Przynajmniej od momentu, kiedy Asija i ja zakupiliśmy w Dubrowniku Hohnery. Za grę na harmonijce mającą umilić czas jazdy po ciągnących się kilometrami serpentynach Łukasz chciał mnie rozstrzelać, spalić moje zwłoki, prochy rozsypać, a ziemię nimi pokrytą porządnie zaorać. Dwa razy – dla pewności. Zastanawiam się, skąd u poczciwego Łukasza brały się tak zabójcze pomysły. Być może nie lubi tonacji E.



Spośród wszystkich uczestników wyprawy to chyba ja odczuwałem największy dyskomfort. Zupełnie nieprzyzwyczajony do tak długiego podróżowania samochodem i cierpiący na chorobę lokomocyjną starałem się przespać jak najwięcej czasu. Kiedy otwierałem oczy, drażnił mnie bałkański krajobraz. Z jednej strony lazurowy Adriatyk, te wszystkie wyspy i wysepki na nim, a z drugiej – wyniosłe szczyty, na które tak bardzo chciałbym wejść.

Stanęliśmy na Przełęczy Vratnik. To tutaj tak naprawdę zaczęła się nasza chorwacka przygoda. Tu po raz pierwszy wyciągnęliśmy aparaty. Wysokość 698 m n.p.m. Odległość od Adriatyku – kilka kilome-

trów w linii prostej, ale droga do Senj, przez kilkanaście kilometrów wiję się serpentynami w dół. To miejsce pamięta jeszcze czasy Ilirów, port – jeden z ważniejszych na Morzu Adriatyckim, został zbudowany przez Rzymian.

Podjechaliśmy do renesansowej twierdzy Nehaj. Asija i Łukasz podziwiali grube mury, w których chronili się wojownicy Uskocy, podziwiali marinę i majaczące w oddali brzegi Krk, ja oglądałem archaiczne zastawy, których pełno kręci się po okolicy, a Maniek z wdziękiem starego kocura zajął zacieniony murek, by odespać swoje.

Potem na południe, w stronę Dalmacji. Po drodze wiele przerw na fotografowanie Kanału Welebickiego i wynurzających się z niego wysp. Stąpając boso po rozgrzanym asfalcie, przypominałem sobie, jak

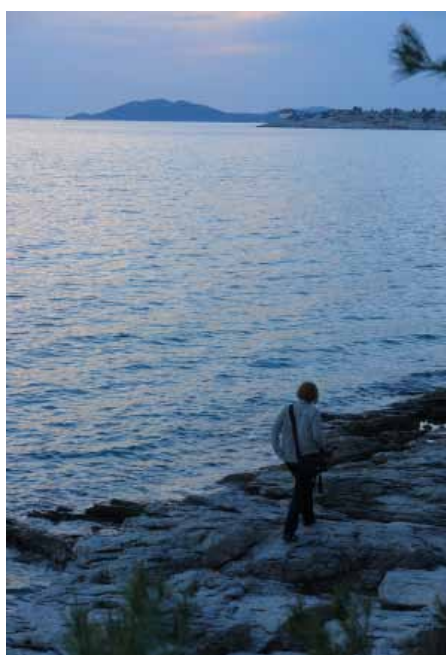
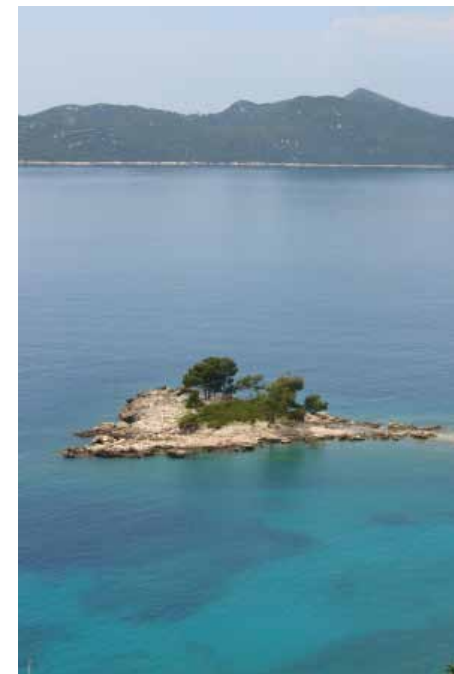
dokładnie miesiąc wcześniej, łącząc po Górach Świętokrzyskich, grzęzłem w śniegu. Asija i Łukasz zeszli nad sam brzeg i zanurzając stopy, dokonali symbolicznych zaślubin z Adriatykiem. Ja w tym czasie uganiałem się za dorodnym witeziem żeglarzem. Nie miałem żadnych szans. Musiałem uważać, żeby nie wywinąć orła na nierównych, ostrych skałach. Motyl ukrył się w koronie drzewa, w którego cieniu stał Asijomobil. Wewnątrz auta, nie marnując ani chwili, Maniek ucinał sobie drzemkę.

Biograd na Moru. Dziwiliśmy się, że życie tutaj toczy się tak leniwie. Pani z biura podróży, gdzie zamieniliśmy euro na kuny, uświadomiła nas, że tego dnia miejscowi obchodzili 1 Maja. Coś podobnego! Dotychczas sądziliśmy, że Międzynarodowy Dzień Pracy to tylko lokalne, typowo polskie święto.

Snuliśmy się z Asiją po wąskich biogradzkich uliczkach, a chłopaki siedzieli pod jedną z knajpek, rozkoszując się wszechobecnym na promenadzie zapachem zdechłej ryby.

Pierwszy dzień podróży zakończyliśmy na wyspie Murter. Maniek drzemał w samochodzie, a Asija, Łukasz i ja poszliśmy pod hotel. Asija wyznaczyła ochotnika, który miał dowiedzieć się, czy są wolne pokoje i ile kosztują. Ence-pence, w której ręce – wybór padł na mnie. Świetnie, kurde!

O tym, że całkiem nieźle znam chorwacki przekonałem się dopiero za kilka dni, tymczasem jednak modliłem się w duchu, aby w takim miejscu jak to recepcjoniści znali angielski przynajmniej tak dobrze jak ja.



Długie, ciemne włosy; duże, czarne jak węgielki oczy; wystające kości policzkowe; mały, nieco zadarty nosek; piękne, namiętne usta; długa łabędzia szyja i kształtne piersi. I to wszystko razem najwyżej dwudziestoletnie. Śliczna Chorwatka parzyła mi w oczy i uśmiechała się do mnie zza kontuaru. Jej bielutkie zęby aż lśniły.

Aj nid tu rums for for person. Aj min dat icz rum mast bi for tu person, not for for person, bikos ti ar for person, not ejt. Ju anderstend mi? – powiedziałem. Odpowiadała mi długo, ale oczarowany jej powabem nie byłem w stanie niczego wyłapać. Głupio mi było robić z siebie idiotę przed taką boginią, więc wróciłem do Asii i Łukasza, aby powiedzieć, że pokój kosztuje tu, bagatela, 30 euro za osobę (ceną wziętą z przysłowiowego sufitu). Asija



nie dała się przekonać, że lepiej by było, gdybyśmy sobie stąd poszli i poleciała, abym wrócił na recepcję i zapytał jak trafić na kamping.

Łer is kamping hir nir? – zapytałem. Zdążyłem się już otrząsnąć, bo tym razem zrozumiałem wszystko, co powiedziała piękna recepcjonistka, wciąż uśmiechając się do mnie: „You must go to the beach, and turn right. I think, thats its open now”. „Okej! Dober dan!” – pożegnałem się po chorwacku i odwróciłem na pięcie, aby dołączyć do oczekujących na dobre wieści przyjaciół.

– Powiedziała, że jak się idzie na dziwki, to trzeba skrócić w lewo, ale myśli, że jest już zamknięte.

– A jak się idzie na te dziwki?



– Wskazała tamten kierunek.

Ruszyliśmy zatem we wskazanym kierunku. Ja ciekawy, Łukasz zachwycony, a Asija zniesmaczona. Jednak nie spotkaliśmy dziewcząt, których szukaliśmy, ale dalej się iść się już nie dało, bo doszliśmy na plażę. Więc Łukasz i ja skrociliśmy w lewo, tak jak radziła dziewczyna z recepcji, wrywając do przodu, Asija została w tyle. Zawierzyła swojej kobiecej intuicji, która podpowiadała jej, że recepcjonistce chodziło o to „drugie lewo” i kiedy już z Łukaszem byliśmy niemal w połowie drogi do Czarnogóry, Asija – narażając się na koszty – zadzwoniła, aby powiedzieć, że kamping znalazła. Niestety bez interesujących nas dziewcząt.

Obudziliśmy Mańka i zajęliśmy miejsce. Łukasz i ja jesteśmy znanymi specami od rozkładania namiotów, ale po co robić coś, co może za ciebie zrobić ktoś inny! Podpuściliśmy Mańka, żeby nam pokazał

jak się rozkłada namiot. Ten sam manewr zastosowaliśmy rano przy jego składaniu, a także na następnym kempingu, kilkaset kilometrów dalej. Grunt, że wszyscy byliśmy zadowoleni. Łukasz i ja – bo znaleźliśmy frajera, Maniek też, bo w gruncie rzeczy to jest bardzo dobry człowiek i lubi pomagać. Tylko Asija, coraz bardziej pograżając się w swoim zniesmaczeniu, kręciła głową, mamrocząc w naszym kierunku: –Przedszkole, coś tam mać, przedszkole!

Kąpiel w Adriatyku planowaliśmy przez całą drogę. Wyobrażaliśmy sobie jak regenerująco podziała na nasze umęczone podróżą ciała; jak przyjemnie będzie pluśkać się w ciepłym morzu w blasku bałkańskiego słońca. Tych chmur, które na-

deszły, kiedy Maniek rozbijał namiot, nikt się nie spodziewał. No i te kłujące jeżowce przyцепione do skał.

Znaleźliśmy kawałek piaszczystej plaży i tylko jeden z nas dał nura, bo innym było zbyt zimno. Nie trudno domyślić się, że tym śmiałkiem był niżej podpisany. Łukasz i Maniek popywali nazajutrz. To było na plaży w Živogošće. Maniek ochoczo popłynął w kierunku wyspy Hvar (zaledwie jakieś 5 kilometrów – dla twardziela pokroju Mańka to 10 minut żabką w tą i z powrotem, wliczając walkę z żarłaczem tygrysim i zatopieniem niemieckiego U-boota). Asija zaczęła lękać się o naszego dzielnego pływaka i kategorycznie zakazała mu płynąć dalej. Jako że nie reagował na prośby ni groźby, Asija w trosce o jego bezpieczeństwo, zaczęła rzucać kamieniami, mierząc w Mańkową głowę. Kilka celnych strzałów sprawiło, że komandor Maniutek przypomniał sobie, kto jest

szefem tej wycieczki i pokornie wrócił do stóp miłośniczynie nam kierującej.

Łukasz i ja namawialiśmy Asiję, aby popływała razem z nami, zamiast niczym Penelopa ślęczyć bez sensu na brzegu morza, czekając aż wyłoni się z niego chłop. Wykręciła się brakiem kostiumu kąpielowego, a jak zaproponowaliśmy, żeby popływała bez kostiumu, zrobiła taką samą minę, jak wtedy, kiedy z Łukaszem szukaliśmy tych adriatyckich biczes i zbyła nas wymownym milczeniem. Maniek stwierdził, że gdyby miał łuk, to by nas, kurcze, powystrzelał.

Ale wróćmy do Północnej Dalmacji! Do Torgiru, kolejnego miasteczka, które nawiedziliśmy. To jedna z najważniejszych



miejsowości na chorwackim wybrzeżu. Pełno tu zabytków, ciasnych uliczek, po których kręcą się ludzie z aparatami, a na palmach rosną jaszczurki. Pod twierdzą Kamerlengo postanowiliśmy się rozproszyć.

Miało być tak: każde idzie w swoją stronę i spotykamy się po jakimś czasie na parkingu, gdzie Asijomobil daje odpocząć swoim nadwężonym klocom hamulcowym; po drodze zwiedzamy, robimy zdjęcia, a potem wymieniamy się doświadczeniami.

Było tak: Asija, Maniek i Łukasz siedli sobie gdzieś, żeby coś „przetrać”, a ja udałem się do pewnej pięknej i przemitej księgarki, z którą rozpocząłem pogawędkę kilkanaście minut wcześniej. Niestety, ponaglany przez resztę ekipy, nie zdołałem jej wówczas dokończyć. Dysponując trzema kwadransami, postanowiłem wykorzystać je jak najlepiej. Na szczęście mąż bukinistki nie wrócił z pracy wcześniej, a ja na pamiątkę dostałem pięknie ilustrowany przewodnik po jej ojczyźnie.

Asija, Maniek i Łukasz twierdzą, że pomiędzy mną a księgarką nic nie zaszło, przewodnik kupiłem na najzwyczajniejszej trogirskiej poczcie po pokornym oczekiwaniu w długiej kolejce, a resztę czasu spędziłem siedząc na falochronie, wertując książkę. Oszczercy!

A propos przewodników! Asija przed wyjazdem zaopatrzyła się w jeden, firmowany przez podróżnicze pismo z tradycjami. W trakcie naszej wycieczki korzystaliśmy

z niego wielokrotnie i gdybyśmy mieli pokusić się o jego recenzję, to najchętniej napisalibyśmy krótko: a niech go szlak najjaśniejszy trafi! Ten, który dostałem od księgarki (rzekomo kupiony na poczcie), okazał się o niebo lepszy! Dysponowanie nim dawało nam spore możliwości poznawcze. Nawet nie bardzo przeszkadzał fakt, że został napisany po chorwacku, języki słowiańskie są do siebie podobne i wystarczy tylko nieco wysiłku intelektualnego, aby ze zrozumieniem czytać bądź dedukować, co autorzy mieli na myśli.

Asija dzierżyła bardziej szczegółową mapę i informowała mnie, do jakiej miejscowości się zbliżamy: „Maciek, dojeżdżamy do Omiša, sprawdź, co o nim piszą!” Jako doświadczony mol książkowy bez trudu odnajdywałem strony z opisami interesującego nas miejsca i bez reszty oddawałem się tłumaczeniu tekstu. Wychwytywałem słowa jak najbardziej podobne do polskich odpowiedników i w ten sposób otrzymywałem szkielet zdania, dzięki któremu mogłem się już domyślić, o co w nim chodzi. Następnie brałem „na warsztat” słowa zupełnie przeze mnie niezrozumiałe i biorąc pod uwagę kontekst, próbowałem się domyślić, co mogą oznaczać. W końcu podnosiłem łeb i z satysfakcją oznajmiałem coś w stylu: „Myślę, że powinniśmy się zatrzymać w Omišu. Piszą, że tutejszy zamek należy do najpiękniejszych przybrzeżnych twierdz w całej strefie śródziemnomorskiej”. Na to słyszałem odpowiedź Asiji: „Maciek, jesteśmy 30 kilometrów za Omišem”. Sytuacja powtarzała się wielokrotnie, jednak z czasem doszedłem do takiej wprawy, że po poświęceniu naszej ostatniej chorwackiej nocy na lekturę przewodnika, rankiem zanim jeszcze zaczęliśmy zwiedzać Park Narodowy Jezior Plitwickich, posiadałem już taką wiedzę, że z dumą mogłem

oświadczyć reszcie wycieczki, iż w owym Parku znajdują się bardzo ładne jeziora. Asii aż ręce opadły z wrażenia!

Ale zanim dojechaliśmy do Jezior Plitwicznych, pokonaliśmy jeszcze kawał drogi! Wspominałem już o kąpeli w Kanale Hvarskim. Napiszę teraz o chwilach spędzonych u stóp masywu Biokovo. Przez cały wieczór patrzyłem nań smętnie, plując sobie w brodę, że nie mam najmniejszych szans, aby wejść na chociaż jedną jego kulminację. Z dołu wydawał mi się absolutnie niezdołby. Nawet Asija i Mańka, doświadczony oszołomy (czyli ludzie, którzy tachają ciężki sprzęt po górach, aby dzięki niemu wspinać się po stromych skalnych ścianach, zupełnie bezsensownie narażając się na niebezpieczeństwo), twierdzili, że bez specjalistycznych ustrojstw, wejście na jakiegokolwiek wzniesienie w pobliżu jest niemożliwe.

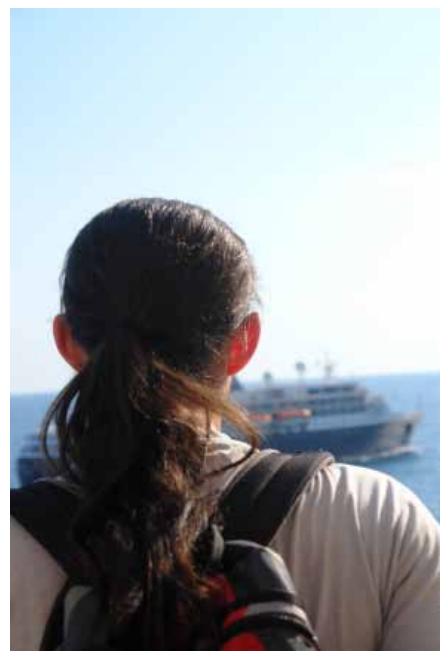
Wczesnym rankiem obudził mnie taki ptasi koncert, jakiego już dawno nie słyszałem. Zachwycony wylazłem z namiotu, aby spacerując po kamienistej plaży, wsłuchać się w kwilenie miejscowych żeb i czego tam jeszcze. Żałuję, że nie potrafię odróżniać głosów ptaków. Samotnie byłem zachwycony, bo reszta wycieczki w bezsilnej złości przewracała się na matkach z jednego boku na drugi. Szczególnie dla Asii i Mańki każda minuta snu była bardzo cenna, więc rozumiem ich złość. Na szczęście tuż po piątej przyplłynął miejscowy rybak, który jął naparzać swoją motorówką tak, że wszystkie ptaki zmyły się, gdzie pieprz rośnie. Za chwilę dołączył do niego jeszcze jeden, a potem kolejny.

Wyciągnęli rozstawione wieczorem sieci i odpłynęli. Po godzinie na kempingu znów zapanowała błoga cisza.

Cisza nie trwała długo. A to wszystko przez intruza, który nawiedził namiot Asii i Mańki. I tu chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że Asija to jedna z najtwardszych i najodważniejszych kobiet, jakie w życiu poznałem. I myliłby się ten, kto wzięłby jej krzyki za oznakę jakiegokolwiek słabości czy strachu. Asija żadnych „szczypanek” się nie boi. Asija krzyczała ze złości i oburzenia, że to małe, bezczelne paskudztwo weszło na jej terytorium bez jakiegokolwiek uprzedzenia i pozwolenia. Jestem pewien, że gdyby „szczypanka” zapowiedziała się nieco wcześniej, sprawa zostałaby wyjaśniona bardziej dyplomatycznie.

Na poboczu szosy wiodącej nad deltą rzeki Neretve zatrzymaliśmy się przy straganie ze świeżymi owocami. Czego tu nie było! Soczyste pomarańcze (Asija takich w życiu nie jadła!), mandarynki, figi, gigantyczne truskawki zerwane z krzaczka przed dwoma godzinami, poza tym słóiczki z przetworami. Sprzedająca zachwalała nam miejscowe specjały. Mnie wcisnęła jakieś suszone ciemne coś, z czymś jaśniejszym gdzieś tam. Nie mam pojęcia, co to było, ale twierdziła, że nazywają to „miejscową viagrą”.

Dotarliśmy do Dubrownika i zakwaterowaliśmy się rzut beretem od starówki. Po ogrodzie kręcił się spasiony kocur. Po przekazaniu nam kluczy do domku, w którym mieliśmy spędzić noc, właścicielka



zamieniła słówko z Mervicą (chyba tak miał na imię kot). Zapewne poprosiła go, żeby się grzecznie zachowywał i nie robił nam problemów. Kiedy opuszczaliśmy kwaterę, aby posnuć się po Dubrowniku, Mervica pochwalił się nam, jakim jest spryculią. Przyniósł sobie jaszczurkę i demonstracyjnie położył na trawniku. Z pewnością dawał nam do zrozumienia, że jak tylko sobie pójdziemy, odda się jaszczurzej uczcie. Niestety, jaszczurka miała inne plany. Zostawiliśmy zdumionego Mervicę poszukującego swojej zielonej zdobyczy między źdźbłami zielonej trawy i poszliśmy zwiedzać. Baw się dobrze sierściuchu!

Z Mańkiem ustaliliśmy, że rano spróbujemy zdobyć Srd, słynne wzgórze nad Dubrownikiem. To z niego serbskie wojska prowadziły artyleryjski ostrzał, w wyniku którego Dubrownik został prawie całkiem zniszczony. Dziś po wojnie nie ma już zbyt

wielu widocznych śladów. Samo wzgórze nie jest bardzo wymagające, choć nasza gospodyni mówiła, że aby na nie wejść, trzeba poświęcić 4 godziny. Dobra, dobra! Damy radę w dwie.

W Dubrowniku koty leżały pokotem. Może jakąś imprezę w nocy miały. Próbowaliśmy drzemać na murkach, w otworach strzelniczych, na nieczynnych już straganach. Wiecznie niepokojone przez natrętów z aparatami fotograficznymi, którzy całymi dniami kręcą się jak muchy. Niektórzy, o zgrozo, ośmielają się nawet głośko. Za takie coś grozi błyskawiczny pazurowy kontratak, o czym przekonał się Łukasz. Chciał podziękować za pozowanie rudemu kocurowi. Całe szczęście, że Łukasz ćwiczył swój refleks od najmłodszych lat, parając się zręcznościowymi grami komputerowymi, bo w przeciwnym wypadku, jego dłoń podzieliłaby los kończyny Luke’a Skywalkera.

Przypadkiem zapędziliśmy się pod stację kolejki linowej na Srd. I tak nasze poranne plany poszły w diabły! Po prostu wjechaliśmy na górę jak cepry na Kasprowy. Wstyd i sromota została zrekompensowana zachodem słońca, który podziwialiśmy wraz z rzeszą japońskich i rosyjskich turystów. Po powrocie na kwaterę usiedliśmy z Mańkiem i asijowym laptopem w ogrodzie, aby raczyć się schłodzonym „luksusem”. Reszta wycieczkowych twardzieli zaległa w łózkach, a my kontemplowaliśmy wieczorny urok Dubrownika. Morze z jednej strony, wyniosłe góry z drugiej; iluminacje oświetlające zabytki i ciepły wietrzyk i pół litra, które przyjechało z nami z Polski. Przyłączył się do nas Mervica, który już zapewne zdążył się rozprawić z miejscowymi jaszczurami, słuchając płynących z laptopa rzewnych kawałków (na przykład „Wynona’s Big Brown Be-

aver” Primusa). Rano Asija zapytała nas, czy wypiliśmy całą tę wódkę.

– Tylko trzy kolejki – odpowiedzieliśmy z czystym sumieniem – Resztę zabrał kot.

Poza tym okazało się, że dałem się naciąć na tę „miejscową viagrę”. Substancja nie wywołała w moim organizmie spodziewanych reakcji. Za to po jej spożyciu poczułem nudności. Być może nie powinienem jej traktować jako zagrychy pod „luksusowy napój”, a może to dlatego, że tej nocy dzieliłem łóżko z Łukaszem.

Rano pojechaliśmy w głąb Chorwacji. Wcisnęliśmy się między Masyw Biokovo



a granicę z Bośnią i Hercegowiną. Przejeżdżaliśmy przez wiele opuszczonych wiosek, mijaliśmy zabite dechami gospodarstwa, domy zniszczone podczas działań wojennych. Wszystko otaczał piękny, anonimowy krajobraz, z którym nie było czasu się zaprzyjaźnić.

To znany w świecie ludzi zajmujących się fotografią komunał: najlepsze zdjęcia to te, których się nie zrobiło. Przechowuje się takie kadry w pamięci, żałując, że aparatu w rękę nie było, że refleksu nie starczyło. Ja wciąż przed oczami mam taką jedną scenę. Stoimy na poboczu górskiej drogi. Wielkie ciężarówki z naczepami mijają nas obojętnie. Asija i Łukasz stoją na skraju przepaści i fotografują odległy krajobraz. Próbuję namówić Mańka na zrobienie kilku pompek. Słyszymy ryk silników zbliżających się pojazdów. I nagle zza góry wyłania się wojskowa kolumna. Kilkanaście HMMWV przejeżdża szosą, a Łukasz stoi odwrócony nad tą przepaścią i foci jakieś tam zalesione górkę, nie wiedząc, co się z nim święci. Jak ja żałuję, że tego nie sfotografowałem! Ci, którzy znają militarne zacięcie Łukasza, pękaliby ze śmiechu, widząc taką fotkę.

Wieczorem dojechaliśmy w okolice Jezior Plitwickich. Po zakwaterowaniu się Asija wysłała męską część wycieczki na zwiaady. Mieliśmy upolować mamuta i rozmówić się z tubylcami na temat panujących tu zwyczajów. Wyruszyliśmy na pełną przygodę i niebezpieczeństw wyprawę. Nie będę zdradzał szczegółów, ponieważ właśnie wysłałem do Hollywood scenariusz oparty na naszych przeżyciach i aktualnie



prowadzę rozmowy dotyczące jego ewentualnej ekranizacji. Napiszę jednak tyle: przygody tego Indianina z biczem, którego kapelusz nigdy nie spada, to mały pikus w porównaniu z naszym wypadem do najbliższego sklepu samoobsługowego!

Po wielu perturbacjach zamiast mamuta przywieźliśmy trochę chipsów i żelek, a zamiast solidnej informacji na temat godzin otwarcia Parku, możliwości jego zwiedzania itd. – trochę piwa. Asija nie dała się przekonać, że mężczyźni po wypiciu określonej ilości złotego napoju doznają iluminacji, w związku z czym ugania nie się za budkami z informacją turystyczną staje się zupełnie bezcelowe. Nie potrafiła też zrozumieć, że obsztorcowywani mężczyźni (słusznie czy nie słusznie – w to nie wnika) zamykają się w sobie, dołączają się i z iluminacji nici. I tak siedzieliśmy wieczorem wszyscy razem. Asija z fochem w pokoju, a Maniek, Łukasz, ja i nasze piwa na balkonie.

Przy okazji udało mi się nawiązać kontakt ze szwajcarskimi „endurowcami” zmierzającymi na swoich warczących ruma-

kach aż do Mongolii. Asija nie posiadała się ze szczęścia, kiedy za późno opowiedziałem jej o nich i ich wyprawie. W końcu jeśli przez kilka dni chce się kogoś zabić, to dobrze jest znaleźć słuszny powód.

Rozprawa sądowa mogłaby wyglądać tak:

– Dlaczego oskarżona zabiła Jelenia?

– Wysoki sędzie! Przez całe życie marzyłam, aby przemierzyć na motorze mongolskie bezdroża. I kiedy nadarzyła się okazja, aby porozmawiać o takim przedsięwzięciu z kompetentnymi osobami, to ta sierota Jeleń nie powiedział mi, że tacy ludzie nocują piętro niżej!

– Aha! No cóż! Biorąc pod uwagę niską szkodliwość społeczną czynu...

Ale przenieśmy się z wymyślonej wokandy prosto nad Jeziora Plitwickie. Są

bardzo ładne. Bardzo, bardzo! Zwiedzaliśmy je pod prąd. Nie będą nam chorwackie tabliczki nakazywać, w którą iść stronę! Przerażeni azjatyccy turyści schodzili nam z drogi. To ichnie karate musi być strasznie przereklamowane. Kiedy wsiedliśmy na elektryczną łódź, którą mieliśmy przepłynąć przez jedno z jezior, przypomniały mi się sceny z „Czasu Apokalipsy”. Wiedziałem, że gdzieś pośród zieleni czają się skośnoocy turyści z wycelowanymi w nas obiektywami, czyhając na dogodny moment, aby nacisnąć spust migawki. Nerwowo rozglądając się, szepnąłem Łukaszowi pamiętną kwestię podpułkownika Billa Kilgore’a.

Na parking z Asijomobilem mieliśmy wrócić elektryczną kolejką, jednak ostatecznie postanowiliśmy pokazać elektrycznej kolejce, co potrafimy i wróciliśmy piechotą. To był koniec naszej podróży po Chorwacji. Jeszcze przemknęliśmy przez wciąż noszący wojenne blizny Karlovac, z daleka pomachaliśmy górującej nad Zagrzebiem Miedvednicy i skierowaliśmy się w stronę

granicy z Węgrami, odczuwając potężny, chorwacki niedosyt.

P.S.

Na koniec kilka praktycznych rad, jak przeżyć podróż z naszą paczką.

1. Należy pamiętać, że ostatni śmiałek, który naigrywał się z Asijowej prostownicy do włosów, został „wyprostowany” raz na zawsze.
2. Nie należy zabierać Mańkowi elektronicznej nawigacji, nawet jeśli ona nie działa. To, że Maniek nie zabija, nie oznacza, że nie potrafi.
3. Przeszłość Łukasza jest owiana tajemnicą i należy to uszanować.
4. Jeśli na chwilę zamknąłem pysk i przestałem opowiadać o pierdołach – nie należy mnie budzić.



Pamiętając te cztery proste zasady, można śmiało wyruszać z nami na kolejne Asijomobilowe podboje!

ZAPRASZAMY DO DYSKUSJI NA FORUM
<http://ckfoto.pl/forum>